

MAGAZYN OPINII

Pismo.

WOKÓŁ
ZBRODNI
I KARY

WYDANIE SPECJALNE NR 2/23 | JESIEŃ 2023

REPORTAŻ

Jak wytropić
przestępcę
na Facebooku

ROZMOWA

Maria Ejchart:
więzienie człowieka
nie poprawia

ESEJ

Czy przestajemy
czytać kryminały?

LITERATURA

Gaja Grzegorzewska
Wojciech Chamier-
-Gliszczyński

CENA: 19,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 434035

02>



9 772544 502319

MAGAZYN OPINII

Pismo.

WOKÓŁ
ZBRODNI
I KARY

WYDANIE SPECJALNE NR 2/23 | JESIEŃ 2023



Z jak zbrodnia



**KATARZYNA
KAZIMIEROWSKA**
(ur. 1979),
dziennikarka
i redaktorka.
Redaktorka
prowadząca
i sekretarzyna
redakcji „Pisma”.
Autorka cyklu
*Strategie
przetwarzania.*

W jednej z początkowych scen filmu Alfreda Hitchcocka *Okno na podwórze* główny bohater, przykutym do wózka fotograf L.B. „Jeff” Jefferies, zaczyna z nudy podglądać sąsiadów. Po kilku dniach dociera do niego, że z mieszkania naprzeciwko zniknęła żona jednego z nich. Co wtedy czuje widz? Zaskoczenie? Ekscytację? Przerażenie? Zabawą w detektywa, której długo nikt nie traktuje na poważnie, Jeff chciał tylko zabić czas, ale niechcący odkrywa straszną prawdę. Hitchcock tym filmem mówi bardzo wiele rzeczy. Że zbrodnia nas podnieca, ale i przeraża, gdy uświadomimy sobie, że może się wydarzyć tuż przy nas, blisko naszych dzieci, za ścianą. Zbrodnia za ścianą? Jak często zastanawiamy się, czy odgłosy uderzeń dochodzące z mieszkania obok są przypadkowe? Czy czasem nie niepokoi nas trwający o wiele za długo płacz niemowlęcia, odbijający się o ściany bloków na osiedlu? O tym też mówi *Okno na podwórze* – że każdy z nas może dostrzec zbrodnię, zatem może spróbować jej zapobiec.

Te myśli towarzyszyły nam podczas tworzenia tego Wydania Specjalnego. Chcieliśmy z jednej strony pokazać metody działania tych, którzy wybierają życie poza prawem lub wbrew niemu, a z drugiej naświetlić pracę osób, które próbują temu przeciwdziałać. I wreszcie przyjrzeć się zbrodni ukaranej.

Sięgnęliśmy po świetny reportaż z „New Yorkera” autorstwa Tada Frienda, który wraz z pracownikami organizacji Earth League International (ELI) próbuje rozwikłać gęste sieci przemytu rzadkich, a więc cennych zwierząt. Od koreańskiej restauracji w Los Angeles po sklepiki z wyrobami medycznymi w Chinach – bo przecież wśród krajów, w których przemysł odbywa się na największą skalę, królują Chiny, Wietnam... i Stany Zjednoczone.

ELI próbuje przeciwdziałać złu, ale jeśli już ono się wydarzyło, należy wysledzić sprawcę, odpowiedzieć na klasyczne pytanie kryminału: „Kto zabił?”. Tym się zajmują grupy śledcze typu Bellingcat, która zrzesza osoby rozmaitych profesji działające w poczuciu misji, by prawdzie i sprawiedliwości stało się zadość. Kto

chciał otruć Aleksieja Nawalnego? Czyja broń zestrzeliła Boeinga 777 linii Malaysia Airlines z niemal trzystoma osobami na pokładzie? Gdzie ukrywają się biali pravicowi ekstremiści szerzący mowę nienawiści? Wykorzystując biały wywiad, czyli rozpoznanie z ogólnodostępnych źródeł, członkowie kolektywu próbują dowiedzieć się, jak doszło do zbrodni i kto do niej doprowadził. A są naprawdę skuteczni.

Wreszcie zbrodnia ukarana, ta w najtrudniejszym wydaniu – dożywotnio. Opowiada o niej prawniczka Maria Ejchart, zwracając uwagę, że polski system penitencjarny nie ma na nią pomysłu. Tylko przypadek może sprawić, że dostrzeże człowieka w odsiadującym wyrok, zamkniętym od piętnastu, dwudziestu, dwudziestu pięciu lat więzniu. – Kara pozbawienia wolności rzadko człowieka poprawia – mówi w rozmowie z nami. Może czas ją ponownie rozważyć, zamiast zastrzaca jeszcze bardziej.

Ze zbrodnią i karą doskonale mierzy się literatura, dlatego w tym numerze Gaja Grzegorzewska sięga po pewien moment z przeszłości, który rzucił się cieniem na życie jej bohaterów. A Wojciech Chamier-Gliszczyński uchyla przed nami drzwi do luksusowych apartamentów, w których czasem gruntowne sprzątanie nie wystarczy, by ukryć... Domyślcie się, co. W dodatku nasza dziennikarka-detektywka, Natalia Szostak, przy wykorzystaniu metod śledczych sprawdza, czy ktoś nie dobija w Polsce samego kryminału. I dochodzi do zaskakujących wniosków.

W jednej z ostatnich scen *Okna na podwórze* główny bohater dostrzega, że przestępca odkrył jego podglądactwo. Czujemy narastającą panikę – przecież Jeff jest unieruchomiony, nie ma szansy uciec ani się obronić. Jego przerażenie staje się naszym. Czy tak się czują ofiary przemocy? Samotnie? Tymczasem my, jako świadkowie zbrodni, jako ci, którzy mają szansę wskazać sprawcę – nigdy nie jesteśmy sami. Pamiętajmy o tej sile – stojących za nami wspólnot sąsiedzkich, grup znajomych – gdy zauważymy przemoc wobec drugiej osoby, wobec zwierzęcia czy przyrody. Nie bądźmy obojętni.

Pismo.

MAGAZYN OPINII

WYDANIE SPECJALNE NR 2/23

PROZA

Niech po wieczność w piekle płonie | 4

GAJA GRZEGORZEWSKA

Yorkshire terrier | 72

WOJCIECH CHAMIER-GLISZCZYŃSKI

POEZJA

modlitwa wigilijna | 59

WOJCIECH BRZOSKA

Umieszczona sobie (...) | 80

KRYSTYNA MIŁOBĘDZKA

OBRAZ

GALERIA **Album fotograficzny przestępców**

z kolekcji JACKA DEHNELA

KOMIKS **Czego o sobie nie wiemy** | 32

MICHAŁ ROMAŃSKI

OKŁADKA **I kara**

MICHAŁ ROMAŃSKI

ROZMOWA

14 | Poza zbrodnią i karą

KATARZYNA KAZIMIEROWSKA rozmawia z prawniczką MARIĄ EJCHART

REPORTAŻ

24 | Jak założyć kotu dzwonek

JULIA LACHOWICZ-NOWIŃSKA o dziennikarzach obywatelskich i białym wywiadzie

44 | Polowanie na przemytników

TAD FRIEND i myśliwi z Earth League na tropie międzynarodowej szajki

ESEJ KULTURA

64 | Zatrzaśnięci w trumnie

NATALIA SZOSTAK próbuje rozwikłać zagadkę końca mody na literaturę kryminalną

Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysztyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorki prowadzące: Katarzyna Kazimierowska (sekretarowanie redakcji),
Zuzanna Kowalczyk, Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Felieton: Karolina Lewestam,
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Korekta: Ewa Bargiel, Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Wydanie cyfrowe i audio: Barbara Sowa, Ewa Pluta, Iga Gromska, Karolina Wasiczek
Projekt makiety: Jacek Utko, Dyrekcja artystyczna, skład i łamanie: Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysztyńska, Marketing: Mateusz Roesler, Promocja: Ewa Salamon,
E-commerce: Anna Ostrowska, Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, Fundraising: Inez Jaworska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Album fotograficzny przestępców

z kolekcji JACKA DEHNELA, AWERS/REWERS

Nr 29(a)
Antoni Oraszkiewicz,
bandyta

Nr 29(b)
Jefim Fiłończyk,
bandyta



Nr 31
Narada członków
Komunistycznej Partii
(bolszewickiej) Ukrainy

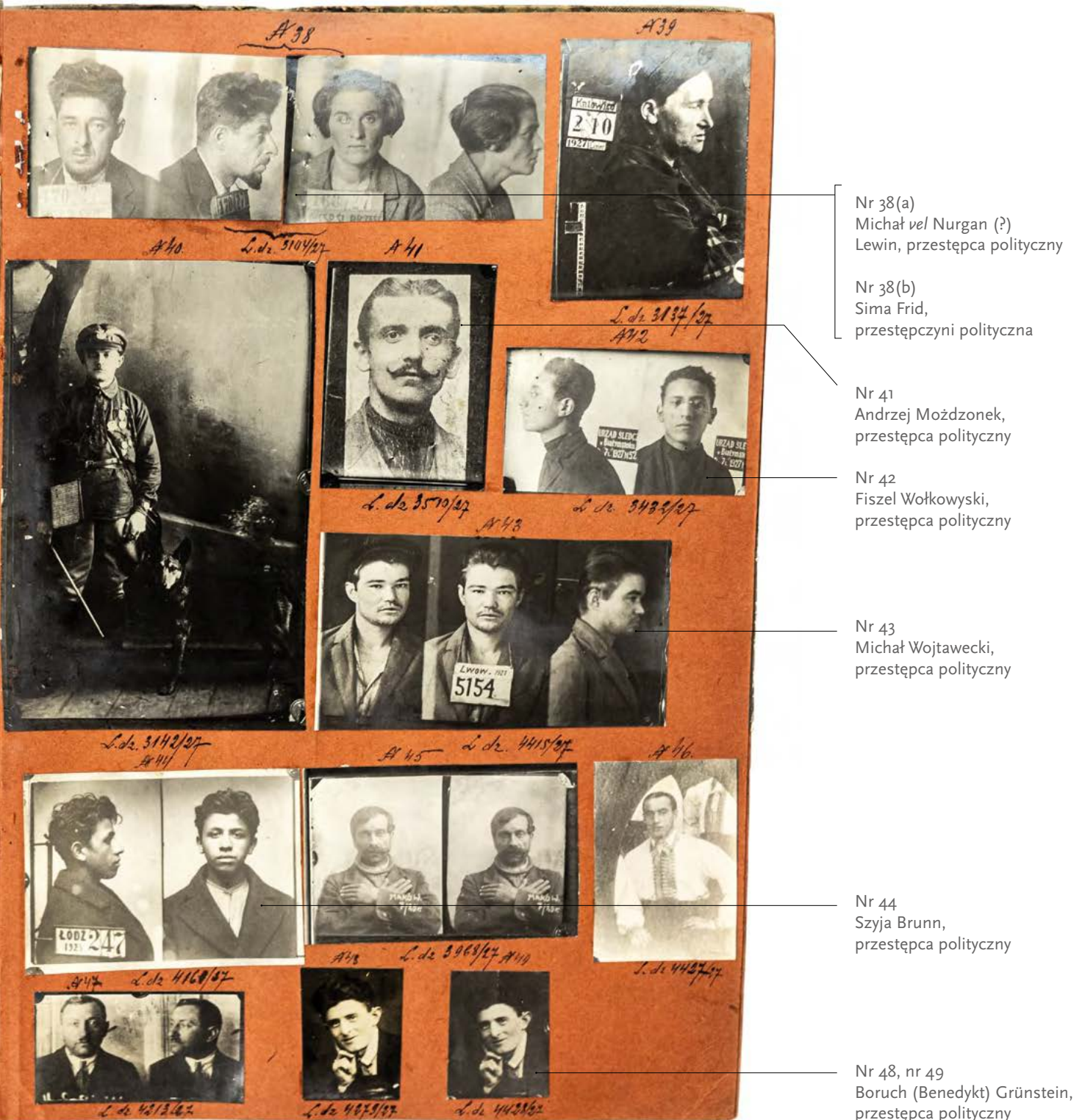


Nr 32
Stefan Smuś
vel Kotliński, atleta,
złodziej i zabójca



Nr 34
Michał Iwanow,
przestępca polityczny

Album z bazą fotograficzną przedwojennej polskiej policji obejmuje lata 1927–1932. Pochodzi zapewne z powiatowej komendy Policji Państwowej w Kole (zatarty czerwony stempel na okładce). Został ręcznie wykonany z kartonu w oprawie intraligatorskiej. Na 42 kartach wklejono ponad 600 fotografii policyjnych przedstawiających: oskarżonych, zaginionych, zwłoki, odzyskane przedmioty, rysunki skradzionych przedmiotów. Każde ze zdjęć jest oznaczone liczbą porządkową oraz numerem referencyjnym sprawy. Jackowi Dehnelowi udało się zidentyfikować niektóre postaci dzięki pracy na archiwach: gazetach i innych albumach policyjnych.



Album będzie prezentowany na wystawie *Sliczna jest młodość naszego wieku*.
Fotoalbumy 1850–1950 w Muzeum Warszawy. Otwarcie wystawy w lutym 2024 roku.

Niech po wieczność w piekle płonie

tekst GAJA GRZEGORZEWSKA

W 1990 roku, tuż przed Wielkanocą, z osiedla zniknęły wszystkie koty. Również te z naszej piwnicy, które ochrzciłam imionami wojowniczych żółwi ninja. Przez całą zimę dokarmiłam je resztkami ze szkolnej stołówki i częstowałam złotym serem wyjętym z kanapek. Dawałam im do wylizania wieczka z jogurtów owocowych i masło z bułek. Dorozczyni złościła się o te koty, że śmierzdzi, że zaszczane. Toczyłyśmy wojnę o otwarte piwniczne okienko, przez które po klatce hulały przeciągi. Ja otwierałam, ona zamykała, a potem się wściekała, że koty srają, gdzie popadnie, i straszyla, że mi je wytruje, jeśli czegoś z tym nie zrobię. Byłam przekonana, że nienawidzi moich kotów, dlatego tak mnie wtedy zaskoczyła tymi łzami. Płakała gorzko, cała czerwona na pulchnej twarzy.

– Biedne kociny. Cóż one komu winne? Z całego osiedla pozabierał.

– Kto pozabierał?

Dorozczyni wykonała nieznaczny ruch głową w stronę drzwi bloku i łypnęła groźnie w ich kierunku, wypluwając z siebie jedno nienawistne słowo:

– On.

– Jaki on?

– No, ten, co zawsze przed świętami kręci się tu z worem po ziemniakach. Przyuważałam raz, jak wabi je pasztetową, a gdy podejdą, to cap, cap i do worka.

– Ale dlaczego? – To wszystko wydawało mi się niepojęte.

– No na stół świąteczny i na skórki. Handluje tym potem na tandecie. Przed świętami jest duży popyt. Wcześniej trutkę sypał, ale lokatorom psy od niej wyzdychały, więc złożyli na niego skargę do administracji. Teraz już tylko ręcznie łowi na pasztet i potem robi pasztet. Bezpańskie koty i psy. Kręci łby, wiesza na gałęziach. A później kości zakopuje za śmietnikiem. Po kilku miesiącach odkopuje i ma białe szkielety też na handel.

Zastanawiając się, kto kupuje takie rzeczy i po co, spoglądałam w mrok pustej piwnicy. Po kotach został tylko smrodek. I naraz ogarnął mnie gniew. Zwłoki moich pięknych kotów ninja mają teraz grać obce szyje jakichś tandeciarzy. Pobiegłam za śmietnik. Ziemia rzeczywiście wyglądała na niedawno naruszoną. Wzięłam kawałek porzuconej za kontenerem dykty i zaczęłam energicznie kopać.

– Co tam robisz, gówniario? – Usłyszałam skrzekliwy głos starucha. Rozejrzałam się. Okno na drugim piętrze było otwarte i stał w nim Dziad, wygrażając mi pięścią.

– Gdzie są moje koty ninja?! – wrzasnęłam. – Oddawaj moje koty, chory pojebie!

– Trzeba se ich było pilnować. – Mlasnął złośliwie i lubieżnie obliznął sztuczne zęby. – A teraz to już pasztet po obiedzie. Zjeżdżaj stąd, smarkulo, bo oberwiesz.

Wróciłam do kopania z jeszcze większym zapałem. I nagle natrafiłam na coś twardego, białego, pokrytego strzępami mięsa i resztkami szarego futra. Leonardo. Przypominający żbika powsinoga ze złamanym ogonem i uszami zawodowego boksera. Zgięłam się w pół i zwymiotowałam prosto do kociego grobu. Drzwi klatki grzmotnęły z hukiem o framugę. Uniosłam głowę. Szedł w moją stronę, sadząc duże, gniewne kroki i dysząc astmatycznie. W rękę trzymał szpitalną kulę, którą wymachiwał w moim kierunku.

– Won stąd, szczeniaku zasrany! Jak cię tu jeszcze kiedyś zobaczę, to dostaniesz przez łeb i cię tu zakopię obok tych sierściuchów.

Zwiałam w popłochu, zaciskając pięści i przysięgając mu zemstę.

TO MÓGŁBY BYĆ DOBRY początek tej historii. Irytują mnie jednak dziury, których nie potrafię zapełnić. Na szczęście znam kogoś, kto może mi pomóc. Idę na spotkanie drogą między garażami. Po lewej mijam kątę, gdzie pokazywaliśmy sobie różne szczegóły anatomiczne. Miasto, w którym się mieszka od urodzenia, pełne jest takich zaułków wstydu. W tyłu miejscach się człowiek zbłąźnił, ośmieszył lub okazał najgorszą wersją siebie. Taką, którą na co dzień stara się ignorować jak natrętnego śmierdzącego menela

Dziennik opisywania kotów podworkolowych.

- 15X - Koty się pochowały
16X -
17X - Czarny-biały kot bardzo mi się przyglądał
18X - Spotkałem czarnego kota, ale ten mi od razu
19X - uciekł.
20X -
19X - Kotów nie widać
20X - - " -
21X - Spotkałem kilka kotów. Do dwóch chciałem
podejść ale mi uciekły. Właściwie jeden
do mnie podchodził, ale jednak uciekł.
22X - - " -
23X - Koty się pochowały
24X - - " -
25X - - " -
26X - - " -
27X - - " -
28X - - " -
29X - - " -
30X - Widać kot, który niestety uciekł
31X - - " -
1X - Koty się pochowały

zaczepiającego pod sklepem kierowniczkę, by poratowała.

Spoglądam na drzewo, ale nie jestem nawet pewna, czy to właśnie to, o które mi chodzi. Teraz powinno być większe, ale o ile? I jak duże było wtedy? Miało wygodną gałąź dla każdego z nas. Lecz byliśmy przecież mniejsi.

Dotykam pnia. Czy ktoś z nas coś na nim wtedy wydrapał? Nawet tego nie pamiętam. Skoro już tu jestem, powinnam to sprawdzić. Chwytam najniższy konar. Podciągam się i wdrapuję po pniu. Ostrożnie wstaję, przytrzymując się gałęzi wyżej. Balansuję chwiejnie, czując uszczyplenie lęku. Łapię równowagę. Dalej idzie mi łatwiej. Wspinam się z czystą, pierwotną przyjemnością, oglądając pień w poszukiwaniu znaków przeszłości. Znajduję jedynie dwa chujy, dupę i wielką nieskończoną miłość. Może to jednak było inne drzewo.

Słyszę chrzęst kroków na żwirze.

– To ty, Majk? – woła mnie. – Wlazałaś na drzewo? – pada głupie pytanie.

– Wlazałam – odpowiadam równie głupio. – Cześć, Kulfon!

W rzeczywistości Kulfon ma na imię Monika. Dlatego Kulfon. Dzieci wcale nie były kiedyś mądrzejsze. Były równie głupie, okrutne i wredne jak dziś. Tyle że nie miały tych wszystkich narzędzi do szerzenia zła. Tylko ściany w kiblach, blaty szkolnych ławek i pełne cudzych tajemnic karteluszeki pozaginane siedem razy, krążące po klasie. Kto, z kim, gdzie i dlaczego.

– Nienawidziłam tego przezwiska – wyznaje Kulfon.

– Przezwiska się nie wybiera – mówię, chociaż ja akurat swoje wybrałam. Po prostu zamiast przedstawiać się głupim imieniem Michalina, mówiłam, że jestem Majk. A od czego to? Od niczego.

Kulfon wzdycha, dawno pogodzona z losem. Gdy tak spoglądam z góry na świat, zaczynam sobie przypominać, a może na nowo rozumieć, co jest fajnego w siedzeniu na drzewie.

– Tylko czy ja w ogóle siedzę na dobrym drzewie?

– Nie. Tamto ścięli, bo było chore.

– Pewnie pochorowało się przez owsiki z naszych tyłków.

Owsiki były przez pewien czas na topie: „Nie siadaj obok Moniki, bo ma w dupie

owsiki”. „Kogo śwędzą owsiki, ten często robi siki”.

Skaczę z najniższej gałęzi. Popisuję się zupełnie jak wtedy. To dziecinne, ale sprawia mi przyjemność. Tak samo jak to, że Kulfon prezentuje się znacznie gorzej niż ja. Ale ja nie starzeję się z godnością. Kulfon natomiast wygląda jak jedna z tych kobiet, które po osiągnięciu pewnego wieku obcinają się na starą smutną babę i farbują kłaki na buraczkowo. Na żyłaki zakładają cieliste rajstopy, a na grzbiet poliestrowe tekstylia i stają się niewidzialne. Potem decydują, który warzywniak będzie ich ulubionym, i oddają resztę życia walkowerem. Nie potrafię tego pojąć, chociaż na głos oczywiście tego nie powiem, bo wiem, że nie wypada.

– O czym będzie to opowiadanie? – pyta Kulfon.

– O Dziadzie z teczka, naszej lokalnej legendzie. Lokalne legendy są lepsze od miejskich. Wiesz dlaczego? Bo można je łatwo zweryfikować.

– Nie pisz o tym.

– O Dziadzie? Dlaczego?

– To zły temat. Po co to odgrzebywać?

– Ale ja chcę o tym napisać. A teraz to nawet jeszcze bardziej. Bo mnie ciekawi, dlaczego jesteś przeciwna. Zapłacę ci za twój czas.

– Nie chcę – odpowiada Kulfon i czerwienie, jakbym jej zaproponowała coś nieprzyzwoitego. Nie wygląda na zamożną. Ale może tylko nie ma gustu. – Z innymi też będziesz gadać?

– Tak. Ale chcę zacząć od ciebie, zawsze miałaś dobrą pamięć.

Ruszam niespiesznie, a Kulfon automatycznie podąża za mną. Idziemy spacerowym krokiem przez plac między garażami. Słońce świeci jak dawniej. Żwir chrzęści jak kiedyś. Synogarlica pohukuje znajomo i obco zarazem.

– Pamiętasz, kiedy pierwszy raz usłyszałaś o Dziadzie?

– O Panu. To był Pan z Worem. Mama mnie nim straszyla, jak byłam mała. Mówiła, że krąży i zabiera niegrzeczne dzieci do wora i na suche kości. Opowiedziałam ci o tym, ale ty stwierdziłaś, że to bzdury i taki ktoś nie istnieje. Więc zażądałam od matki, żeby mi tego dziada pokazała.

– Sprytnie. I pokazałaś?

– Przecież wiesz, że tak. A ja pokazałam go innym. Tobie też, ale ty nadal nie wierzyłaś.

– Do czasu.

Aż dobrał się do moich kotów ninja. Wtedy połączyłam fakty.

– A potem zaginęło tamto dziecko. Mówiłam matce, że to na pewno sprawka Dziada, a ona na to, żebym nie rozpowiadała głupot. Ale zrobiła się jakaś ostrożna, przestraszona. Jakby nagle sama w to uwierzyła.

– Może on nie istniał, dopóki go nie stworzyła swoimi słowami.

– Istniał. Chyba się bała, że Dziad usłyszy moje gadanie i coś mi zrobi. Przez tydzień nie pozwalała mi wychodzić na pole.

Akurat zbliżamy się do czteropiętrowego bloku, w którym Kulfon wtedy mieszkała – na ostatnim piętrze, w dwupokojowym mieszkaniu z włoskim balkonem. Przez tamten tydzień, gdy siedziała zamknięta, często widywałam ją na tym balkonie z głową wciśniętą pomiędzy pręty. Obserwowała plac zabaw z grobową miną więźniarki skazanej na dożywocie bez możliwości odwołania. A ja w najlepsze fikałam kozły na trzepaku i miałam nadzieję, że ona to widzi i mi zazdrości.

– Dalej tu mieszkasz? – pytam, wskazując balkon, na którym odsiadywała wyrok.

– No tak. Z mężem i córeczkami.

– To fajnie – odpowiadam niezbyt błyskotliwie, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

– Jest, jak jest – stwierdza refleksyjnie Kulfon i wzdycha.

Oj, coś nie najlepiej się dzieje u państwa Kulfonowskich. Wyobrażam sobie, że powinna mieć łysiejącego męża, rozwalonego na rozgniecionej jak znoszony kapeć kanapie, z którą przez lata zdążył się zespolić w jedno. Z piwem w łapie i petem w mordzie. I z brzuchem wylewającym się obscenicznie spod domowego podkoszulka. Ogarniętego obsesją niesprawiedliwości i szukającego winnych nie tam, gdzie trzeba. Krzyczącego na telewizor w lepsze dni. W gorsze zaś... Nie, nie jest aż tak źle. To tylko zwykły sfrustrowany smutas, błady i miękki jak rozgotowane kluski. Być może coś jednak pełga w nim pod naskórkiem. I nie daje mu spokoju. W tle dwie pociechy

Pod spodem zawsze miał tę samą szarżalą koszulę z kołnierzykiem żółtym od wżartego potu. A może to nie była jedna koszula, tylko kilka podobnych, a każda równie wstrętna? I co jeszcze? No tak, jeszcze krawat, szeroki, niemodny naleśnik u swego zarania zawiązany raz na zawsze w węzeł.

—
...W KOLORZE GÓWNA, zawieszony na szyi jak pętla wisielca – kończy Kulfon, cytując moje dziecięce słowa.

Podchodzi ocenić wykonany przeze mnie mural. Dzieło inspirowane jest przede wszystkim *Gabinetem doktora Caligari* Roberta Wienego oraz *Nosferatu* Friedricha Murnaua i trochę też Wernerem Herzogiem. Gdy dysponujesz szraczkowatą ścianą, bryłą węgla i opisem Dziada, styl narzuca się sam. Kulfon dłuższą chwilę spogląda potworowi w oczy.

– Podobny? – pytam.

– W pewnym sensie. Ale rzeczywiście to bardziej konstrukt niż odwzorowanie prawdy. Pamiętasz tę rymowankę, którą wymyślaś?

A tak, była jakaś rymowanka. Kulfon zaczyna mówić bez wahania, jak wtedy, gdy na polaku recytowała pod tablicą wierszyk.

*Dziad po osiedlu chodził
I dzieci uwodził.
W teczce nosił ich kości
Dla własnej przyjemności.
Rodzice się go bali,
Dzieci przed nim chowali,
Lecz on zawsze znalazł sposób,
Żeby dziecko mieć na rosół.
Gotowany malec płakał,
A dziad z podniecenia sapał.
Potem zżerał go ze smakiem.
Na kolejne mając chrapkę,
Gdy wybierał się na łowy,
Wdziewał garniak granatowy,
Na syry szpetne trumniaki
I jeszcze krawat w kolorze sraki.
Na tym krawacie dziś go wieszamy,
Tańcząc wkoło trupa, wesoło śpiewamy:
Nie ma, nie ma już sąsiada,
Co nam dzieci powyjadał.
Oto kociąt jest morderca.
Leży martwy i bez serca.
Taki dziad z tęczką koniec
Niech po wieczność w piekle płonie!*

A może na początek opowiadania powinienam dać ten wierszyk? To wprowadzi staroświecki klimat z odrobiną wiktoriańskiej makabry. Zacznie się klasycznie i elegancko, z ukłonami dla matek założycielek i ojców założycieli gatunku.

—
UZNAŁAM, ŻE MUSIMY go sprowokować, żeby wiedział, że my wiemy, i zaczął się bać, a wtedy na pewno z czymś się zdradzi. Więc wytrwale każdego dnia siadaliśmy na drzewie i gdy przechodził, śpiewaliśmy tę piosenkę. I w końcu się zorientował, że śpiewamy o nim. Zwyzywał nas od małych zbrodniaków.

– Kto się przezywa, sam się tak nazywa – odpyskowałam i zawołałam na cały głos. – Słuchajcie, sąsiedzi, dziad gwałci dzieci! Koty morduje, grubo pożałuje!

– Poczekał, ty gówniario, jak cię w końcu dorwę, to ty pożałujesz!

I rzucił kamieniem, lecz nie trafił we mnie, tylko w Marion. Rozbił jej czoło i zleciała z gałęzi. Strasznie się rozdarła. Dziad uciekł, a Marion chciała biec do mamy na skargę. Przestraszyliśmy się, że jak wygada rodzicom, co robimy za garażami, to będziemy mieli nieliche problemy, więc trzymaliśmy Marion, krzycząc, żeby przestała się drzeć, ale wtedy ona z jakiegoś powodu zaczęła się wydzierać jeszcze głośniejsze.

– Puścimy cię, ale masz przysiąc, że nikomu nie powiesz. A jak powiesz, to cię przywiążemy do torów – wysyczał jej Kamil prosto w twarz.

Marion przestała beczeć, lecz nie z powodu gróźb. Spojrzała prosto na mnie i oznajmiła:

– Nic nie powiem, jak mi dasz swoją Barbie Hawajkę. I Kena z włosami.

– Dobra, tylko morda w kubeł.

Nie bawiłam się już lalkami od dawna, więc cena niewielka. W domu Marion wyciągnęła ode mnie jeszcze barbmobil i ubranka dla swoich nowych przyjaciół. Widziałam po jej minie, że chciałaby mi zabrać więcej. Miałam dużo zabawek, którymi rodzice wynagradzali mi swoją nieobecność. Teraz krzywo się patrzy na taki system wychowawczy, ale ja zdecydowanie wolałam dobra materialne od rodziców obecnych, takich, co się interesują dzieckiem aż do przesady, zawsze chcą wiedzieć, gdzie jest i co robi, jakie ma

oceny i czy zjadło cały obiad, czy zakopało kotleta pod ziemniakami.

Tymczasem lato się kończyło, a nasze śledztwo utknęło w martwym punkcie. Po incydencie z kamieniem Dziad zmienił trasę i już nie przechodził pod naszym drzewem. W desperacji postanowiliśmy zaufać swoim odwiecznym wrogom – tak zwanym dorosłym.

Rodzicom mówić nie było sensu. Moi nie wierzyli już w nic, co mówiłam, bo dla ich własnego dobra nagminnie ich okłamywałam. Niestety, każde wykryte kłamstwo obniżało moją wiarygodność, jak w tej bajce o pasterzu i wilku.

Dlatego poszłam od razu na policję. Tam mnie nie znali, więc nie mieli powodu wątpić w to, że jestem osobą solidną i wiarygodną. Na wszelki wypadek zabrałam ze sobą Kamila, podejrzewając, że chłopakowi łatwiej uwierzą. Ale kwestia płci okazała się bez znaczenia. Nie chcieli nas słuchać, bo byliśmy dziećmi. Uważali, że robimy sobie żarty. Jeden wąsacz chciał nas nawet spisać i poinformować szkołę oraz naszych starych, straszyl odsiadkę w poprawczaku. Więc spieszyliśmy stamtąd czym prędzej, dochodząc do ponurej konstatacji, że w tym świecie możemy liczyć tylko na siebie.

Nie pozostało nam nic innego, jak samodzielnie zdemaskować mordercę. Oglądając *Park Jurajski* na wideo, wpadłam na pomysł, jak zastawić pułapkę na Dziada. Najpierw jednak musieliśmy pożyczyć sobie czyjeś dziecko. W tym celu udaliśmy się do Gównianego Zoo. Usiedliśmy na ławce, żeby obserwować smarkaczy i wybrać najlepszy okaz. Ostatecznie uznaliśmy, że weźmiemy pierwsze, które da się zwabić na baton. I w ten nieskomplikowany sposób w nasze ręce wpadła trzyletnia Ulka Kutryba. Nie chcąc ryzykować, że ktoś nas zobaczy, poprowadziliśmy Ulkę za garaże, mając po drodze obietnicą kolejnego batona. Dalej poszliśmy ścieżką prowadzącą za ostatni blok, gdzie nie było żadnych ławek, alejek, huśtawek, nawet trzepaka. Tylko dziki gąszcz, który zawsze budził we mnie niepokój. I krótsza droga na przystanek tramwajowy. Droga, o której dorośli mówili: „tamtędy lepiej nie chodzić”. Dziad chodził oczywiście właśnie tamtędy. No bo kogo niby miał się bać? Jakie to musi być komfortowe, wiedzieć, że nic ci

nie grozi w ciemnym zaułku, bo to ty jesteś jedynym zagrożeniem w okolicy.

—
WYCHODZIMY Z KULFONEM z za ostatniego bloku przed torami. Czuję pod skórą cień tamtej ekscytacji i echo dawnego lęku, który łaskocze mnie w środku, w okolicach mostka i w gardle. Właściwie nic się tu nie zmieniło, ale czegoś brakuje i z tego powodu początkowo ogarnia mnie rozczarowanie. Zaraz jednak uświadamiam sobie, że to ja się zmieniłam. Dlatego przerażające niegdyś chaszczki, które budziły we mnie pierwotny lęk, teraz wydają się mniejsze i rzadsze, wcale nie są gęstwiną nie do przebycia. Widać za nimi nasyp i tory. Podchodzę bliżej i uśmiecham się pobłaźliwie do tamtej siebie.

Nagle słyszę szelest i chrzęst łamanych gałęzi. Z krzaków wynurza się brudny, śmierdzący facet. Bełkoce i toczy wokół nieprzytomnym spojrzeniem. Zauważa nas i natychmiast rozpoznaje we mnie kogoś, do kogo ma wielką potrzebę się przysrać.

– Soo kurrrrr waaa so sie kuuurwaaaa. Ja... sieee zapierdoleeee szmato jebana! Zaaeeeb! Szyyyszyyyszszz. Zaaeeeb! –

– No, spróbuj – odpowiadam spokojnie.
– No, zajeb mnie!

Uginam nieco kolana, przyjmując pozycję wyjściową. Unoszę zwinięte pięści i zaczynam się przemieszczać boksem

krokiem, w ramach rozgrzewki wyprowadzając prawy, lewy, prawy. Pijak niczym zahipnotyzowany śledzi rozkołysanym wzrokiem moje ruchy.

– No, dawaj! – krzyczę. – Dawaj!

Facet posłusznie unosi czarne od brudu łapska. Próbuje zacisnąć pięści, oglądając je przy tym z takim zdziwieniem, jakby dopiero co odkrył, że je posiada, i próbował rozkminić, do czego służą. Opuszcza ręce z rezygnacją i rzuca mi spojrzenie, w którym czai się wyrzut. A potem zawraca po łuku i krokiem marynarza zatacza się w stronę bloków.

– Idę w chuj – rzuca na odchodnym nie wiadomo do kogo.

Parskam śmiechem. Odwracam się do Kulfona i nadzieję wprost na wbity we mnie wzrok. Takimi oceniającymi spojrzeniami obrzucała mnie również za dzieciaka.

– Ty jesteś pierdolnięta – stwierdza.

– Tak się może wydawać – unoszę w górę palec i się uśmiecham – ale ja po prostu już nigdy nie chcę się bać i znalazłam na to sposób. Gdy ktoś się na mnie drze, to drę się na niego jeszcze głośniejsze. Teraz odbijam sobie te wszystkie obleśne gwizdy z rusztowań i wulgarne komplementy meneli spod sklepu.

– To przez niego? – pyta Kulfon cicho, z trwogą.

– Poniekąd. Wtedy zrobiliśmy to po raz pierwszy. Zapolowaliśmy na myśliwego. Pierwszy raz poczułam, że mam sprawczość. To było katarktyczne.

– Nawet gdy twój pomysł z dzieckiem nie wypalił?

– Wypalił. Tyle że inaczej, niż zakładaliśmy.

Zbliżyliśmy się do miejsca, które wtedy wybraliśmy na zasadzkę. Pod starym wiaduktem, obok wżartych w ziemię szyn pozostałych po przedwojennych torach, rozebranych w latach 70.

—
KAMIL DAŁ ULI DRUGI baton, a ja różowego kucyka Pony, którego specjalnie po to wzięłam z domu. Posadziliśmy ją na trawie i przywiązaliśmy sznurkiem do drzewka, jak kozę z *Parku Jurajskiego*, z którego zaczerpnęłam cały koncept. Skryliśmy się za kępą krzaków. I czekaliśmy. O 16.30 nadjechał towarowy. Leżeliśmy maksymalnie czujni i napięci w suchej od upału, gryzącej nasze delikatne brzuchy trawie. Gdy pociąg odjechał, na szczycie nasypu punktualnie jak w zegarku, jak każdego dnia, pojawił się Dziad. Czarny i straszny na tle popołudniowego słońca. Wtedy do mnie dotarło, że źle się ukryliśmy i on nas zaraz zobaczy. Czółgając się jak cztery zaskrońce, okrążyliśmy kępę. Teraz byliśmy tak dobrze schowani, że sami również nie widzieliśmy nic poza ścieżką przy rozdzielni prądu, prowadzącą za ostatni blok, do garaży i naszego drzewa. To na niej mieliśmy zaraz ujrzeć Dziada niosącego najnowszą zdobycz do swojej nory. Czas jednak mijał, a Dziad się nie pojawiał.

Nagle mój żołądek zalał lodowaty strach. Zerwałam się i rzuciłam pędem w kierunku drzewka, do którego przywiązaliśmy Ulę. Ale Uli tam nie było. Ani sznura, ani kucyka, ani Dziada, tylko paperek po batonie. Rozejrzałam się. Pusto.

W naszym planie nie uwzględniliśmy nowej trasy mordercy. Gdy zrezygnował z drogi za garażami, przestał też chodzić ścieżką przy rozdzielni. Musiał po przekroczeniu nieczynnych torów iść dalej prosto do ulicy Polnej, przy której stały małe domki jednorodzinne.

Ruszyliśmy w pościg, kierując się w stronę bloku Dziada. Nie natknęliśmy się jednak



Słuchaj wszystkich czterech sezonów reporterskiego serialu podcastowego na magazynpismo.pl i w aplikacji Audioteka.

Nowa historia już wiosną.

PRODUCENT:

Pismo.

PARTNER STRATEGICZNY:

audioteka

ani na niego, ani na Ułę. Przerażeni i przejęci dotarliśmy pod jego klatkę.

– Nie mamy wyboru, musimy iść do niego do domu i uratować małą, nim ją przerobi na kotlety. Tylko my wiemy, co się stało – zdecydowałam, zastanawiając się, w jaki sposób dostać się do mieszkania i wyciągnąć Ułę, tak żeby przy okazji tam nie utknąć i nie stać się kolejnymi ofiarami.

Bardziej niż Dziada i tego, co zastaniemy w jego mieszkaniu, bałam się jednak gniewu rodziców, jeśli się wyda, że to my porwaliśmy dziecko z placu zabaw. Moja mama zapowiedziała, że jak wytnę jeszcze jeden numer, odeśle mnie do szkoły z internatem prowadzonej przez okrutne zakonnice. I nie wyjdę stamtąd aż do matury.

– Musimy go wywabić z mieszkania – powiedziałam. – Radek zadzwoni do drzwi, a gdy Dziad otworzy, Radek go zwyzywa i zacznie uciekać. Wtedy Dziad zacznie go gonić. Tylko pamiętaj, Radziu, biegnij w dół, nie w górę. Bo piętro wyżej będziemy my. Kulfon zostanie na czatach, a ja i Kamil wejdziemy do mieszkania i przejmujemy zakładnika.

Nie dowiedzieliśmy się nigdy, czy to był dobry plan, czy kolejny niewypał, bo naraz przez osiedle przetoczył się piskliwy, histeryczny krzyk.

– Ula! Jesteś! Gdzieś ty była? Mamusia się tak martwiła! Boże jedyny... Uluś, co to jest? Uleńko...

Spojrzelśmy po sobie, nic z tego nie rozumiejąc. Ostrożnie okrążyliśmy blok Dziada i precyzyjnie się do otoczonego żywopłotem, zarośniętego ogródka pod balkonem pani Puchały, stanowiącego znakomity punkt obserwacyjny.

Na placu zabaw rozgrywała się dramatyczna scena. Pani Kutryba, matka Uli, kłęzczała na ubitej ziemi, oglądając swoją córkę ze wszystkich stron. Ula nadal przewiązana była sznurem, który chyba próbowała z siebie zdjąć, ale udało jej się tylko przełożyć pętlę z pasa na szyję, przez co wyglądała, jakby uciekła śmierci prosto spod szubienicy. Twarz miała wysmarowaną czekoladą. Białe rajtki zielone od trawy. W brudnej rączce ścisnęła różowego kuczka, z zapalem żując jego grzywę. Obok kilka matek zbiło się w rozedrganą z ekscytacji grupkę.

- Kto mógł zrobić coś takiego?
- Jakiś chory człowiek.

– Matko boska! Przecież dzieci mówiły o zbrodni, co się po osiedlu kręci.

– Jakie dzieci?

– Monika Rysiak opowiadała dozorczyńni, że jakiś Dziad chodzi po torach i zaczepia dzieci. Zabiera je za garaże i tam obok tego drzewa coś im robi.

– Co im robi?

– Nie wiem. Myślałam, że to znówu jakieś wygłupy tej Michaśki, którą rodzice chowają bezstresowo i ona ciągle dzieciaki do głupot namawia.

– Jezus Maria, może on na tym drzewie chciał Uleńkę powiesić. Uluś, gdzie cię zabrał ten pan? Ten, co dał ci czekoladę?

Ula namyśliła się, a potem pokazała palcem skryte za drzewami garaże. Nie kłamała. Tamtędy ją prowadziliśmy po zabranii z placu zabaw.

– Przywiązał cię do drzewa?

Ula z przekonaniem pokiwała głową. I w tym przypadku również nie mijają się z prawdą.

– Może to ten spod czwórki? Taki dziwny, wygląda jak grabarz, nigdy się nie kłania. Żle mu z oczu patrzy.

– Tu nie ma żartów. Trzeba dzwonić na policję.

Siedzieliśmy za żywopłotem, do wieczora obserwując rozwój wydarzeń, znacznie ciekawszy niż niejeden odcinek *Policjantów z jajami*. Przyjechało dwóch funkcjonariuszy. Jednym z nich był ten Wąsacz, co nas wtedy pogonił. Drugi, którego nie kojarzyłam, zabrał Uli różowego kuczka i schował razem ze sznurem do torby na dowody. Ula płakała, pokazując matce złego pana, który zabrał jej zabawkę. Pani Kutryba tuliła ją

i relacjonowała Wąsaczowi wszystkie znane jej fakty.

– Zaraz – przerwał jej wąsaty. – Mówi pani: stary facet w garniturze, zawsze z teczką w ręce? Chudy i siwy?

– Tak. Właśnie.

– I on przy torach i za garażami się kręci?

– Tak. Tam moją Ułę zabrał. A skąd pan o nim wie?

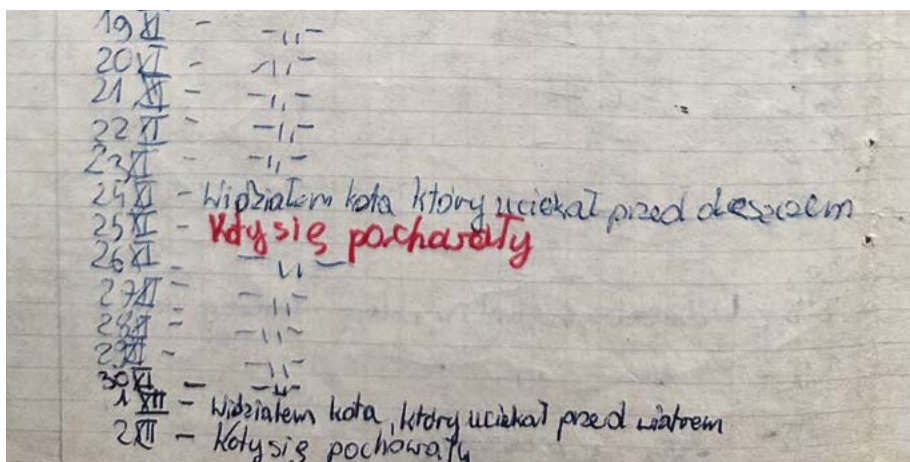
– Niech się pani uspokoi.

– Ale skąd pan wie o tym zbrodni? – nie dawała się spławić matka Uli.

– Był na niego donos obywatelski. Będziemy tę sprawę badać. A na razie proszę mi powiedzieć, gdzie ten mężczyzna mieszka.

Pani Kutryba i pozostałe kobiety niczym grecki chór wyciągnęły oskarżycielskie palce w stronę okien Dziada. Policjanci wezwali wsparcie i ruszyli, aby się rozprawić z mordercą. Godzinę później z satysfakcją obserwowaliśmy, jak pakują protestującego zbrojnie do radiowozu i odjeżdżają. Pogratulowaliśmy sobie nawzajem udanej akcji i rozeszliśmy się do domów. Nie mogłam się wprost doczekać porannych wiadomości.

Rankiem czekało mnie jednak srogie rozczarowanie. W radiu nic, w telewizji również. Może to nadal była, jak mawiali w serialach, tajemnica śledztwa. Bałam się, że Wąsacz będzie szukał mnie i Kamila w związku z donosem obywatelskim. I może w końcu trafić do mojego domu. Nie mogłam ryzykować. Zebrałam wszystkie moje kucyki Pony i zamknęłam się z nimi w łazience. Starannie wyszorowałam każdego ludwikiem. Potem spakowałam do worka, a worek schowałam do nowego tornistra. Chciałam się niepostrzeżenie



wymknąć z domu, ale jak na złość matka zdybała mnie w przedpokoju.

– A ty dokąd z tym tornistrem?

– Chcę sobie już z nim pochodzić. Bo nie mogę się doczekać szkoły.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Co ty znowu kombinujesz?

– Nic! Mogę iść?

– Lepiej zostań. Podobno kręci się po osiedlu jakiś nieciekawyy typ.

Dlaczego używa się określenia „nieciekawyy typ”, gdy mowa o typie ewidentnie ciekawym? To bardzo mylące. Ja swoim dzieciom będę mówić, że po osiedlu kręci się jakiś „ciekawyy typ”.

Gdy tylko matka wyszła do pracy, ja również wymknęłam się z mieszkania. Wyszłam przed blok. Na placu zabaw matki, teraz trwożliwie pilnujące swoich śmierdzieli, rozmawiały z wielkim ożywieniem, bałam się jednak podejść i podsłuchać, żeby mnie przypadkiem Ula nie rozpoznała. Co prawda, założyłam czapkę z daszkiem i ciemne okulary, ale to przebranie mogło się okazać niewystarczające.

Okrężną drogą dotarłam pod blok mordercy. Na ulicy nie było nikogo. Ruszyłam w stronę zamykanego śmietnika, za którym Dziad pogrzebał moje koty ninja. Na wypadek, gdyby ktoś mnie obserwował, wyjęłam z kieszeni papierki i ostentacyjnie niosłam w rękę, że niby taka ze mnie grzeczna dziewczynka, co wyrzuca papierki do kubłów. W śmietniku nałożyłam na dłoń mamina rękawiczkę, wyjęłam z tornistra reklamówkę z wysterylizowanymi kucykami i wyrzuciłam ją do kontenera. Schowałam rękawiczkę, założyłam tornister i opuściłam śmietnik. Po tem popędziłam za garaże.

Byłam ostatnia. Z naszego drzewa niczym liany zwisały policyjne taśmy. Kulfon zdążyła już zrelacjonować chłopakom, co usłyszała od dozorczynie, ale z chęcią opowiedziała wszystko raz jeszcze. Okazało się, że policjanci zabrali Dziada na posterunek, ale nie znaleźli żadnych dowodów, więc w nocy go wypuścili.

– Bo wszystkie dowody ma w teczce – przypomniałam im. – Pewnie zdążył ją dobrze ukryć. A teraz będzie próbował się jej pozbyć.

– Trzeba powiedzieć policji – uznała Kulfon.

– Co ty, głupia? Żeby nas znowu przegonili? Tylko stracimy czas. Zamknijcie jadalnię i słuchajcie. Sami zdobędziemy teczkę! Ja biegam najszybciej, więc stanę po drugiej stronie torów, pod nasypem, i będę czekać. Wy się schowacie za rozdzielnią i zaatakujecie Dziada, jak będzie wychodził z Polnej. Wyrwiecie mu teczkę. Kulfon i Radziu go przytrzymają, a Kamil pobiegnie do nasypu i rzuci teczkę do mnie na drugą stronę. A ja pobiegnę z nią prosto na komisariat!

Uznali mój plan za niegłupi. Wyruszyliśmy od razu.

– Po co ci ten tornister? – spytała mnie Kulfon.

– Jest nowy i chcę go rozchodzić przed szkołą.

– Aha – przyjęła to wyjaśnienie bez dalszych pytań.

—
TERAZ TO KULFON prowadzi mnie. Przez wysoką, drapiezną trawę w stronę nasypu kolejowego i torów, na których kładliśmy monety. Gdy docieramy na miejsce, bez uprzedzenia zaczynam wspinać się na nasyp. Staję na szczycie i odwracam się do Kulfona w promieniach zachodzącego słońca.

– Chodź tu i opowiedz, co pamiętasz. I pokaż, gdzie kto był.

– Nie lubię tam wchodzić.

– Przecież tu już nic nie ma. Minęło ponad dwadzieścia lat. Od tamtego czasu po tym nasypie spłynęły galony deszczu.

– Nic nie rozumiesz – odburkuje i zaczyna niezgrabnie wchodzić na górę. W końcu przystaje obok mnie. Ma zadyszkę i rozbiegane spojrzenie.

Wskazuję jej drugą stronę nasypu.

– Tam stałam i czekałam. Usłyszałam, jak Kamil krzyczy: „rzucam”. I rzucił do mnie teczkę, a ja ją złapałam, chociaż przy okazji się wylebiłam.

– Zajrzałaś do środka?

– Nie. Nie zdążyłam. Bo zaraz rozległy się wasze wrzaski. Chciałam do was wrócić. Ale usłyszałam gwizd pociągu. I wtedy Kamil krzyknął: „Uciekaj! On oszalał!”. A Dziad się wydierał: „Zaraz pożałujesz, przekłeta gówniario. Zostaw to! Oddawaj!”. Więc zaczęłam uciekać. Zrobiłam ledwie kilka kroków, gdy rozległ się ten potworny pisk, zgrzyt i krzyk. Nigdy potem o tym nie

rozmawialiśmy. Co tam się naprawdę wydarzyło?

– Nie wiem dokładnie. Straciłam przytomność.

– Mów, co pamiętasz.

Kulfon kiwa głową. Wiem, że widzi to tak samo wyraźnie jak wtedy.

– Zaczailiśmy się na Dziada, tak jak było ustalone. Kamil wyrwał mu teczkę i popędził do nasypu. Ja i Radziu staraliśmy się go przytrzymać, ale był zaskakująco silny. Radziu miał zawsze takie wilgotne ręce. Trzymał Dziada za rękaw marynarki, ale mu się wyslizgnął. Radziu przewrócił się na tyłek, zaraz wstał i rzucił mi się na pomoc, bo Dziad chwycił mnie za włosy. Okropnie bolało. Wrzasnęłam. Radziu kopnął go w goleń. No to mnie puścił, dopadł Radzia i wyrzwał go pięścią w twarz. Tak mocno, że Radziu upadł. Na te nieużywane tory. Uderzył potylicą. Miał otwarte oczy. W jednej chwili puste jak u manekina. I leżał, jak upadł, nieruchomo, jakby go przemieniono w kamień. Wszystko wtedy znieruchomiało na chwilę. Bo to jest taka rzecz, której mózg nie ogarnia, nie akceptuje. Ja i Dziad równie zaskoczeni dzieliliśmy tę chwilę, w której oba nasze światy zatrzymały się w tym samym miejscu. Ocknęłam się z odrętwienia. Rzuciłam się na niego z pięściami, wrzeszcząc: „Morderca!”. A on uderzył mnie w głowę. Upadłam, ale na szczęście na trawę. Straciłam przytomność od tego uderzenia. A potem był ten pisk i krzyk. Usiadłam, strasznie kręciło mi się w głowie. Obok mnie kucał Kamil. Był oblepiony trawą, miał podrapaną twarz i ręce we krwi. Był bardzo wystraszony. Powiedział, że Dziad pobiegł za tobą, żeby odzyskać teczkę. Kamil próbował go zatrzymać. Wtedy Dziad rozorał mu policzek tym swoim upiornym pazurem. Chciał zdążyć przed pociągiem. Nie zdążył. Zgrzyt i pisk. Taki był jego koniec.

– A ja rzuciłam teczkę po tamtej stronie torów i wróciłam do was okrężną drogą przez most nad torami. W międzyczasie nazłaziło się sporo ciekawskich.

– Byliśmy przerażeni. A ty taka spokojna. Pamiętasz, co nam powiedziałaś?

– Ani słowa o teczce, bo będziemy mieć przesrane.

– I mielibyśmy przesrane. Policja już była w drodze. Na szczęście ktoś wezwał też pogotowie.

— SZYBKO, DO KARETKI – zarządziłam. – Musimy się stąd związać. Kamil, złap się za twarz, a ja będę prowadzić Kulfona. Jesteśmy w szoku. Rozumiecie? Kulfon ma uraz głowy. Z nikim nie gadamy o tym, co się tu stało.

– Ale co tu się stało? Ja nie rozumiem – bełkotała płaczliwie Kulfon.

– I tego się trzymaj. Potem wam wszystko wyjaśnię. Daj trochę tego – zebrałam z twarzy Kulfona trochę krwi i posmarowałam się nią pod nosem. Czułam bardzo wyraźnie jej metaliczny zapach. Resztę roztarłam z przodu na podkoszulkę. Kamil patrzył na mnie z obrzydzeniem.

Kulfon dramatycznie zwymiotowała na oczach ratowników, więc o nic nas nie pytali, tylko załadowali do karetki i powieźli do szpitala na sygnale. Kiwając się katatonicznie na użytek sanitariusza, obmyślałam gorączkowo, co powinniśmy powiedzieć i co zrobić w dalszej kolejności.

W szpitalu Kamilowi założyli kilka szwów, a mnie do niekrwawiącego nosa wsadzili dwa upokarzające i zupełnie zbędne tampony. Kulfon tymczasem była poddawana różnym badaniom i stale monitorowana. Mnie i Kamila zaprowadzili do bufetu. Wszyscy nam bardzo współczuli. Dostaliśmy herbatę i drożdżówki. Gdy w końcu zostaliśmy sami, powiedziałam mu, co wymyśliłam. Kamil wysłuchał mnie uważnie i przystał na mój pomysł. Wiedziałam, że Kulfon też się zgodzi dla świętego spokoju. Raz dwa nauczył się nowej wersji i będzie ją pamiętała nawet wybudzona w środku nocy za trzy dekady.

Zawsze robili to, co wymyśliłam. Wcale nie chciałam rządzić. Po prostu byłam ciekawa, co wyniknie z moich działań. Chciałam mieć kontrolę nad rzeczywistością. Kreować losy świata, a nie tylko uczestniczyć w tym, co życie oferuje w standardzie.

Podczas naszego drugiego spotkania Wąsacz był dla mnie tak miły, jakby chciał mi wynagrodzić tamtą sytuację, kiedy nas niesłusznie pogonił.

– Opowiedz, co się wydarzyło na nasypie. Co wy tam w ogóle robiliście?

– Kładliśmy na torach monety, wie pan, dla zabawy, ale proszę nie mówić naszym rodzicom... Myśleliśmy, że Dziad jest w areszcie i w końcu możemy się bezpiecznie bawić. I wtedy się pojawił. Wiedział

o naszym donosie. Chciał nas ukarać. Zaczęliśmy uciekać. Złapał Monikę i tak uderzył, że straciła przytomność. Radziu chciał jej pomóc, a wtedy Dziad go popchnął. I on po prostu upadł i umarł. Dziad się przeraził i chciał uciec. Próbowaliśmy z Kamilem go powstrzymać, ale nie daliśmy mu rady. Uciekł nam. A potem usłyszeliśmy ten zgrzyt. I krzyk. To było potworne. Myśli pan, że kiedyś o tym zapomnę?

Wąsacz nie wiedział, co odpowiedzieć, a ja wlepiłam w niego wyczekujące, natarczywe spojrzenie zbitego psa. Psa, którego zbito, bo policjant wykazał się wcześniej niekompetencją.

– Jakbyście nam na początku uwierzyli, to Radziu by żył! – Żeby go dobić, zaczęłam płakać, co nie było trudne, bo naprawdę lubiłam Radzia. Był prostolinijnym klasowym grubasem, przy którym każdy mógł poczuć się lepszy.

– Bardzo mi przykro – bąknął Wąsacz. Miał już dosyć tych wyrzutów sumienia i bardzo chciał się mnie pozbyć. – Dziękuję ci za pomoc. To już wszystko. Możesz iść.

Wstałam i ruszyłam do wyjścia. Zawołał za mną:

– Jeszcze jedno. Jak w ogóle wpadliście na to, że facet morduje dzieci?

– Zaczęło się od kotów. W okolicach świąt zawsze wyłapywał piwniczne koty i je dusił. Robił z nich czapki, kołnierze i pasztety nadziewane żyłkami. Wieształ psy na drzewie za garażami, tam, gdzie chciał też powiesić Ulę. Zakopywał trupy i czekał, aż robaki je objedzą do białej kości, potem sklejał szkielety dla kolekcjonerów szkieletów. Pewnie wciąż jakieś kości leżą za śmietnikiem.

Przekopano pół osiedla. Technicy znaleźli sporo kości zwierząt, ale żadnych ludzkich. Jednak dowody poszlakowe były mocne i uznano Dziada pośmiertnie winnym przynajmniej próby zamordowania Uli. Dowody winy w sprawie zabójstwa Radzia i pobicia naszej trójki były już jednoznaczne i niepodważalne. Zawsze to jakaś pociecha, nawet jeśli koniec, który spotkał tego potwora, nie był do końca satysfakcjonujący.

— Wiesz, co znaleźli w jego teczce?

– Nie. A ty?

– Tak. Dozorczyni mi powiedziała.

– A ona skąd wie?

– Od pani Kutryby.

– A Kutryba? – drążę, ciekawa, ile przekaźników miał ten głuchy telefon.

– Od policji. Poszła odebrać ubrania Uli, bo zabrali je do badania, te, które miała wtedy na sobie. Kutryba spytała o tego różowego kucyka, bo miała się zafiksować na tej stracie. Ale usłyszała, że nie może go dostać z powrotem, bo to dowód w sprawie i są na nim odciski kilku osób. Niestety, żadne z nich nie należały do mordercy...

– No raczej. Przecież to były odciski moje, twoje, Kamila i Radzia. Chyba każde z nas dotykało tego kucyka, gdy ustawialiśmy pułapkę.

– I dlatego do końca życia musimy się pilnować, żeby nas nie zapuszkowali. Bo jeśli nasze odciski trafią do bazy i wyskoczy zgodność, to nawet ty nie wymyślisz, jak się z tego wywinąć.

– Przesadzasz – staram się bagatelizować tę możliwość, chociaż nie mogę mieć pewności, czy jakiś nadgorliwiec z archiwum X nie połączyłby kropek. Dlatego przypominam jej na wszelki wypadek: – Nie mieliśmy wyboru. Przecież nie mogliśmy im powiedzieć, że to my porwali Ulę, żeby z niej zrobić przynętę na zboczeńca.

– Wiem. Ten policjant powiedział Kutrybie, że Ula miała wiele szczęścia, bo wygląda na to, że morderca nieraz stosował tę metodę. W śmietniku pod jego domem policja natrafiła na cały wór koniny z plastiku. Lecz rozstrzygającym dowodem okazał się kucyk znaleziony w jego teczce pod nasypem. Im się to oczywiście wspaniale sklepiło z tym, że dał kucyka Uli. My wiemy, że to kłamstwo. Ale do tego kłamstwa pasuje to, co znaleźli w śmietniku i teczce. To ty podrzuciłaś te dowody.

– Tak. Podrzuciłam. Żeby uwiarygodnić oficjalną wersję z porwaniem Uli. Co za różnica, jaką metodę mu przyklepał? Był mordercą.

– Jesteś pewna? Że był mordercą? – pyta Kulfon poważnie.

– Oczywiście! Był zły. Na twoich oczach zabił Radzia.

– Tak. Zapędzony w kozi róg. A zaraz potem zginął. I wszystko dobrze się złożyło. Ale gdyby tę historię obrać ze wszystkiego, w co byliśmy zamieszani, to nie ma na niego ani pół dowodu.

– Są dowody na to, że latami mordował osiedlowe koty...

– Skoro ostatniego kuczka wrzuciłaś do jego teczki, to jednak musiałaś ją otworzyć. Co tam znalazłaś?

– Nie miałam czasu jej przeszkukać. Do rzuciłam kuczka na wszelki wypadek.

– Od początku planowałaś podrzucić go do teczki. Po to było to całe polowanie. Wiedziałaś, że nie ma w niej niczego obciążającego? Bo Dziad jest tylko wstrętnym Dziadem. Powiedz szczerze. Myślisz, że naprawdę był tym, za kogo go uważaliśmy? Kanibalem, gwałcicielem i sadystycznym mordercą z teczką pełną dziecięcych kości?

– Tak. Był bardzo złym człowiekiem, którego spotkała zbyt łagodna kara.

Dłuższą chwilę milczy, myśli i trawi. W końcu pyta lekkim tonem:

– Jak zakończysz swoje opowiadanie?

– Oficjalną wersją. Nie będę się przecież podkładać.

Potem patrzę w ślad za oddalającą się Moniką. Chwilę później idę jeszcze raz spojrzeć na ekspresjonistyczny portret na ścianie garażu. Ktoś zdążył już dopisać obok kredą: „Morderca”. Ulica wydała wyrok.

—
ZARAZ POŻAŁUJESZ, przeklęta gówniario – wrzeszczał dziad. – Zostaw to! Oddawaj! Puszczaj!

Więc puściłam teczkę, która upada ciężko w trawę.

W tej samej chwili po drugiej stronie, na skarpie nasypu, tuż przy torach, Kulfon puściła wyświecony materiał marynarki, upadła w tył i sturlała się z nasypu. A ja odwróciłam się gwałtownie, słysząc zgrzyt i pisk.

Ale całej prawdy domyśliłam się dopiero, gdy odwiedziliśmy Kulfona w szpitalu, gdy już była po tych wszystkich zabiegach. Miała podbite oko i rozbitą wargę. Ale żadnej rany, która mogłaby zalać krwią całą twarz. Kamil wszystko widział. Wtedy zrozumiałam dlaczego patrzył z taką odrazą, gdy smarowałam sobie twarz krwią, którą starłam z buzi Kulfona.

—
ROZPOZNAJĘ GO, bo się go spodziewałam. Kamil nie jest ani nierobem z piwnym brzuchem pod zszarzałą żonobijką, ani

rozmiętkłym frajerem. Jest po prostu bardzo zmęczony i smutny. A pod jego skórą rzeczywiście coś pełga. Wątpliwości, które zatruwają ich dom niewypowiedzianym lękiem. Wyrzuca śmieci do pojemnika i staje obok mnie, żeby spojrzeć na mural.

– Spróbowałam wszystkiego. Nadal nie pamięta – mówię, oglądając okładkę sensacyjnego szmatławca, który ich córka przyniosła jakiś czas temu do domu. I wtedy pojawiły się pierwsze wątpliwości.

Gdybym naprawdę pisała opowiadanie, to może zaczęłabym właśnie od tej okładki, z której krzyczał lead: „Sprawiedliwość pod kołami pociągu”. A pod spodem: „Historia legendarnego mordercy siejącego przed laty postrach na jednym z krakowskich osiedli to temat na horror! Nigdy nie usiadł na ławie oskarżonych, lecz kara go nie minęła”. A potem napisałabym o tym, jak Kamil zadzwonił do mnie i poprosił o pomoc.

Mnie ostatecznie zesłano do tej szkoły, którą straszyla mnie matka, i aż do dziś nie wracałam do krainy dzieciństwa. Kamil natomiast został tu na straży wersji oficjalnej. A teraz ma poczucie, że walczył o przegraną sprawę.

Zdjęcie jest stare i ziarniste. Ale w rogu widać naszą trójkę zmierzającą do karetki. Gdyby Kamil mi nie powiedział, nie zrozumiałabym, co wywołało niepokój Kulfona. A była to bluza, którą przewiązany był w pasie Kamil. Czarna, więc krwi na niej nie widać, a na tak słabym zdjęciu nie ma też szans dostrzec, że bluza byłaby na niego za mała. Ale Kulfon na pewno pamiętała, w co była ubrana tego dnia. A ja pamiętam jego przerażoną minę i zakrwawione dłonie, którymi wycierał jej twarz. I obrzydzenie, gdy

posmarowałam się krwią, jak mi się wtedy zdawało: Kulfona, a w rzeczywistości Dziada. Krwią, która chlusnęła jej w twarz, gdy żelazne koła rozrywały jego ciało.

– Nie popchnęła go, chociaż może nawet chciała, gdy za nim biegła, ogarnięta dziką furią – opowiada raz jeszcze Kamil. – Po prostu puściła jego marynarkę, a on z impetem wpadł prosto pod koła. Ona nadal tego nie pamięta, ale coraz częściej czuje, że coś się nie zgadza. Najpierw zaczęła podejrzewać mnie, teraz podejrzewa ciebie, ale za jakiś czas może jej się uda poskładać fakty. Albo po prostu sobie przypomni.

– W zaakceptowaniu tego, co zrobiła, może jej pomóc tylko jedno – mówię pewnym głosem. – Przekonanie, że Dziad był tym, za kogo go uważaliśmy.

– A był?

– To bez znaczenia. Chodzi tylko o to, żeby ona w to uwierzyła.

– To w ogóle możliwe?

– Oczywiście. Zajmuję się tym zawodowo. Kreuję rzeczywistość.

– Ile to będzie kosztowało?

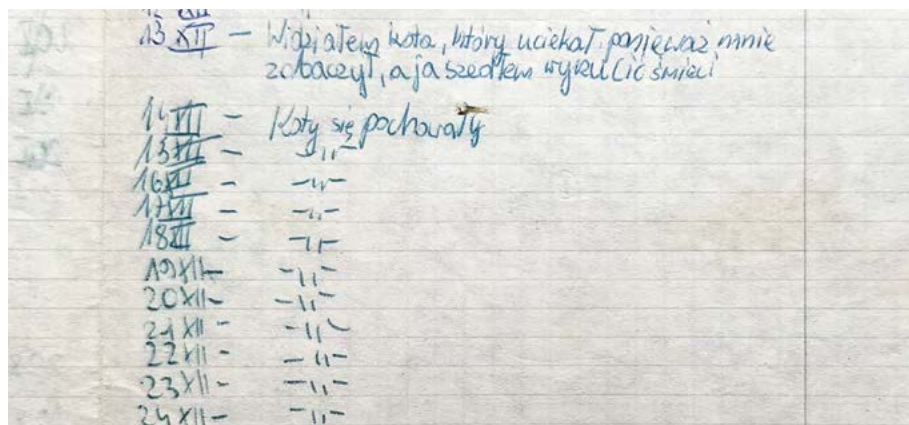
– Dla przyjaciół z jednego drzewa cały pakiet gratis. Zrobię to z przyjemnością.

– Dlaczego nam pomagasz?

– Pomagam wam tylko przy okazji, bo akurat jest mi to na rękę. Obiecałam Dziadowi, że się zemszczę za moje koty ninja i nie mam zamiaru mu odpuścić tylko dlatego, że nie żyje.



Więcej prozy przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/proza



Poza zbrodnią i karą

z MARIĄ EJCHART

rozmawia KATARZYNA KAZIMIEROWSKA

—

NIEKTÓRZY WIĘŹNIOWIE woleliby karę śmierci niż dożywocie, bo ta jest przewidywalna, wiesz, że zginiesz. A dożywocie to powolne umieranie, odroczone kara śmierci.

Spotkałyśmy się, by porozmawiać o zbrodni i karze, a tak naprawdę o najwyższym wymiarze tej ostatniej, jakim dysponuje polskie sądownictwo, czyli o dożywotnim pozbawieniu wolności.

Zacznijmy od tego, że jestem przeciwniczką tej kary.

To jest pani w mniejszości. W raporcie z Ogólnopolskiego Badania Wiktyimizacyjnego z 2020 roku czytamy, że 80 procent Polaków popierało wprowadzenie kary bezwzględnego dożywocia. Chcemy karać surowo.

Oczywiście, kara pozbawienia wolności musi istnieć, ale należy zachować proporcje między emocjami społecznymi, bezpieczeństwem a realną oceną sądu. Gdy w 1995 roku przywrócono karę dożywotniego pozbawienia wolności, zniesioną w 1970 roku, jednocześnie wprowadzając moratorium na karę śmierci, poparcie dla tej ostatniej było wciąż bardzo duże. Pomysł powrotu do kary śmierci co jakiś czas pojawia się do dziś w dyskursie publicznym, podsycany zwłaszcza przez polityków. Ja uważam ten temat za zamknięty. Natomiast wyrok dożywocia stawia nas przed dylematem, bo musi zaspokoić potrzebę społeczną – jak pokazują wspomniane przez panią badania – wyłączenia sprawcy z życia publicznego, a jednocześnie być wykonany

humanitarnie, czyli z poszanowaniem godności człowieka.

Jeszcze raz podkreślę: jestem przeciwniczką dożywocia. Kara pozbawienia wolności powinna być terminowa, dostosowana do danego przypadku. A nikt do tej pory w Polsce nie wymyślił, jak karać inaczej za najcięższe przestępstwo niż właśnie wyrokiem dożywocia.

Ale wymyślił, jak izolować od społeczeństwa, a o to przecież też tu chodzi.

Ta funkcja – wykluczenie człowieka na zawsze ze świata ludzi wolnych – jest w DNA kary dożywocia, ale nie w prawie. Karę dożywotniego pozbawienia wolności wprowadzono do kodeksu jako alternatywę dla kary śmierci, jednak formalnie ma ona spełniać te same cele co wyrok terminowy. Czyli ma między innymi doprowadzić do tego, by człowiek mógł wyjść na wolność i żyć uczciwie. Tak mówi prawo karne. Nie mamy jednak w Polsce sposobu na to, jak to zrobić.

Co prawda, więźniowie mogą ubiegać się o warunkowe przedterminowe zwolnienie po dwudziestu pięciu latach, ale po pierwsze, nowelizacja Kodeksu karnego, która weszła w życie 1 października, podniosła tę granicę do trzydziestu lat, a po drugie, sądy penitencjarne nie są chętne, by poddawać więźniów próbie zwolnienia warunkowego. Co w praktyce oznacza, że jest to kara beznadziejna. Oczywiście skazani żyją nadzieją na wcześniejsze zwolnienie, bo tylko to im zostaje, ale bardzo trudno to osiągnąć. W polskim systemie więziennictwa nie ma też pomysłu na to, jak tę karę odbywać.

MARIA EJCHART (ur. 1976), prawniczka, trenerka związana z Helsińską Fundacją Praw Człowieka (HFPC). Zaangażowana w realizowany w Katedrze Kryminologii i Polityki Kryminalnej UW kryminologiczny projekt badawczy „Dożywotnie pozbawienie wolności. Zabójca, jego zbrodnia i kara”. Prezeska Stowarzyszenia im. Profesora Zbigniewa Hołdy.